

# POLSKA WALCZĄCA

## ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień Dnia 27-go maja 1944r. Rok VI. Nr. 21

# PODSTAWY WSPÓLNOTY

W dwóch poprzednio tu zamieszczonych artykułach: "Potrzeba nowej wizji" i "Klucz przyszłości" /nr. 11 i 16 "Polski Walczącej" z b.r./ usiłowałem przedstawić pewne czynniki i podstawy, na których winien się opierać powojenny świat. Kończąc ten cykl, chciałbym dodać parę uwag, które wydadzą mi się nieodzowne dla uzupełnienia obrazu.

### ODBUDOWANIE POCZUCIA PRAWA

W rozlicznych dyskusjach i planach odnoszących się do urzędzenia powojennego świata, zbyt mało uwagi poświęca się zagadnieniu bardzo doniosłemu: poczuciu prawa. Nie zdajemy sobie sprawy, że to poczucie zostało zagrożone nie od dzisiaj, że państwa totalne przeszły do porządku nad tym poczuciem, że totalizmy rozpoczęły się od burzenia ładu prawnego, a w państwach takich, gdzie pewne koła — głównie urzędnicze — skłaniały się ku ideałom "rządów autorytarywnych" obchodzenie prawa i podważanie prawa umożliwiało manewry klik rządzących. Nie dopuszczamy dalej przykrej myśli, że kodeks prawny, jaki obowiązywał narody i społeczności, został poddeptany, że poczucie prawa stało się coraz niżej i niżej w krajach podbitych, gdzie koniecznością stało się wszystko co nielegalne, gdzie praktyki *black market* są na porządku dziennym i gdzie wypacza się młoda myśl w atmosferze ucisku i terroru.

Odbudowanie poczucia prawa jest koniecznością w życiu społeczeństw, inaczej bowiem będziemy przez lata, jeżeli nie pokolenia, tkwili w dżungli totalnej. Prawo musi znowu zacząć rządzić społeczeństwami zwichrzonymi wojną, przeoranymi totalnym barbarzyństwem, pogrążonymi w nienawiści do okupanta. Dlatego tak ważną rzeczą jest n.p. ustalenie już dzisiaj listy przestępstw niemieckich. Oczywiście, jest jasne, że klęska Niemiec wywoła samosady, jest oczywiste, że ręka sprawiedliwości społeczeństw wykona wyroki na katów i małych satrapów, zanim zaczną w tych krajach działać sądy — i nikt nie będzie ubolewał zbyt nad tymi odruchami.

Ale musimy pragnąć, ażeby wymiar sprawiedliwości był jak najszybciej opanowany przez odpowiedzialne czynniki, ażeby sądy w krajach sojusznicznych przystąpiły najszybciej do pracy, albowiem zależeć nam winno na tym, by przywrócono majestat i wartość prawa. Nie zapominajmy, że wybryki przeciwko prawu, że wszelkie ugruntowanie samosądów i odruchów, wymierzanie sprawiedliwości przez tłum, wszelkie bezprawie — znieprawia nie tylko tych, którzy są jego ofiarami, ale i tych, co je uprawiają. Dlatego w interesie Narodów Zjednoczonych, w interesie kultury europejskiej jest najszybsze powołanie do życia trybunałów, które będą ścigać i sądzić niemieckich zbrodniarzy.

Poczucie prawa winno zostać odbudowane również w stosunkach międzynarodowych. I w tej dziedzinie jesteśmy świadkami smutnego zaniku tego poczucia. Państwa totalne zasiały groźny siew i nie został on wypleniony. Nie skończy się on automatycznie przez sam fakt pobicia Rzeszy. Miażdżące totalne będą dalej istnieć i mogą zatruwać organizmy zarówno państw demokratycznych jak i tych, które będą starały się mozolnie i z trudem tworzyć po swojemu demokrację. Poczucie prawa w stosunkach międzynarodowych to poszanowanie zawar-

tych układów, to trzymanie się pewnych zasad, a nie koniunktury. Oczywiście, stosunki międzynarodowe nie zostaną uzdrowione, jeżeli nawyki totalne będą dalej w modzie.

A zatem — typ propagandy nieprzebierającej w środkach, nieopozycyjne ataki rozmaitych stacji radiowych, ton pisanie o innych państwach, szkalowanie sąsiadów — te metody muszą po wojnie być, jeżeli już nie zupełnie zaniechane, to w każdym razie ograniczone. Wiemy z doświadczenia przeszłości, jaką rolę odgrywała prasa i radio w wywoływaniu t.zw. zbiorowych oburzeń, jak podbechtywano kraje i narody przy pomocy tych dwóch czynników. Prasa w państwach demokratycznych musi po wojnie zyskać w pełni swobodę wypowiedziania się. Prasa winna być wolna, ale to jeszcze nie wystarczy: musi ona odzyskać to poczucie sprawiedliwości i rzeczowości, jakie cechowało ją dawniej. Już po pierwszej wojnie rozpoczął się w rozmaitych krajach Europy upadek rzetelności prasy; pogoń za sensacją sprawiła, że prasa przestała kierować opinią — była kierowana przez gusty i nastroje pewnych odłamów społeczeństw. Prasa przestała pouczać, starała się zabawić. Ta rola nie wyszła prasie na dobre.

### DOBRE POŻYWIENIE — ZDROWY KLIMAT

Poczucie prawa winno być odbudowane, co będzie powolnym procesem, ale też nie należy się lękać: zniszczenie w Europie będzie olbrzymie. Europa potrzebuje dzisiaj bardziej cierpliwych lekarzy, aniżeli niecierpliwych demagogów, polityków obiecujących złote góry i różowe wizje, tych wszystkich szalbierzy, co kierują się zasadami reklamy handlowej: należy obiecywać najwięcej — klientowi można przeczyć wszystkim. A skoro Europie potrzeba przede wszystkim lekarzy, więcej ludzi, którzyby rozumieli jej schorzenia, wypaczenia i kompleksy i starali się je leczyć — to wynika jasno z tego, że pierwszym warunkiem jest: dobre pożywienie, zdrowy klimat. W każdym leczeniu są to podstawowe warunki.

Zdrowe pożywienie — wiemy że Europa będzie wygłodniała, nędzna, niedożywiona. Grecja stanowi dzisiaj najbardziej chyba dramatyczny przykład głodu w Europie: wymieranie z głodu jest tam zjawiskiem co raz to bardziej niepokojącym. Polska stoi chyba zaraz na drugim miejscu. Ale nawet za możliwa Francja odczuła na sobie straszliwe skutki niedożywienia. Neutralne doniesienia powiadają, że niedożywienie jest cechą najbardziej może znaną obecną sytuacji we Francji. Choroby takie jak anemia, gruźlica, wszelkie choroby krwi — przy czym pojawiły się nowe schorzenia i nowe, nieznane objawy — podcinają siły żywotne Francji. Pokos śmierci w Polsce z niedożywienia i niedostatku jest olbrzymi.

Zadaniem rozmaitych organizacji jak UNRRA będzie dostarczenie Europie żywności, odzieży. Potrzeby będą olbrzymie. Liczyć się należy jednak z tym, że zostaną one zaspokojone, albowiem zapasy amerykańskie są wielkie. W. Brytania zgromadziła spore zasoby, państwa południowo-amerykańskie pomogą wydatnie. Anglia zachowa system racjonowania, aby móc dosyłać do Europy żywność i odzież. Wszystko wskazuje na to, że zagadnienie wyżywienia, ten podstawowy punkt, nie zostanie załatwiony najgorzej.

Mniej jasno przedstawia się zagadnienie zdrowego klimatu. Pod tym bowiem pojęciem rozumiemy te wszystkie sprawy natury moralnej, te wszystkie *imponderabilia*, rzeczy nie dające się zmierzyć i zważyć, które jednak odgrywają w życiu jednostek i narodów większą niekiedy rolę, niż ekonomiczne są skłonni przypuszczać. Zdrowy klimat dla Europy, to poczucie bezpieczeństwa, którego brak było Europie od czasu pojawienia się hitlerizmu. Poczucie bezpieczeństwa — ono jedno może sprawić, że społeczeństwa przestaną żyć nerwami, paniką wojenną, że oddadzą się rzemiosłu pokoju, że zaczną nabierać przekonania, iż dorobek ich nie będzie jutro zniszczony, że zatem warto pracować, mnożyć się, zakładać rodziny. Poczucie niepewności jutra, które wynikało w Europie przedwojennej z napięcia, ustawicznej wojennej paniki, bezrobocia, socjalnych starć — musi być usunięte. Bezrobocie może być rozkładane i opanowane: wiemy już jak walczyć z tą chorobą, nie jest ona dla nas nowina. Są dzisiaj sposoby i środki, ażeby bezrobocie trzymało się co najmniej w ramach niegroźnych dla społeczeństw — ale nie dokona się tego bez międzynarodowego wysiłku, bez otwarcia granic państw, bez wzajemnej pomocy krajów Europy.

### BEZPIECZEŃSTWO ZBIOROWE

Jest wielkim nieszczęściem, że plany organizacji bezpieczeństwa zbiorowego nie wyszły dotychczas poza ogólniki i że nawet niedawno odbyta konferencja premierów Imperium Brytyjskiego nie chciała oświadczyć niczego, co by ją zobowiązywało. Być może jednak, że chwila jeszcze nie dojrzała do ogłoszenia szczytów takiego planu; z drugiej strony W. Brytania ujawniała już nieraz swoje plany i zamiary /mowa radiowa Churchill'a z końca marca ub.r./, ale projekty te nie odpowiadały jakoś wszystkim członkom zespołu *Big Three*. Pisma brytyjskie w pierwszych raportach z konferencji premierów dominialnych zaznaczały, że opowiedzieli się oni za pewnym odtworzeniem Ligi Narodów, uważając, że wiele z tej organizacji należałoby uratować i że główną przyczyną zawałenia się Ligi był brak odpowiedniego poparcia siły.

Oczywiście, wszystko sprowadza się do tego prostego zagadnienia: siły i jej użycia. Jest niewątpliwie rzeczą smutną, że projekty snute w U.S.A. na temat powołania do życia międzynarodowej siły policyjnej ucichły i że głosy brytyjskie opowiadające się za takim pomysłem stały się słabe. Jest to wynik tego, że nie wszystkie mocarstwa są w jednakowej mierze obdarzone duchem międzynarodowej współpracy. Nie wszystkie są równie szeroko otwarte na inicjatywę tego typu.

Myśl powołania do życia międzynarodowych sił policyjnych, głównie lotnictwa, która jeszcze przed dwoma laty była wielce żywa w U.S.A., dzisiaj niestety usunięta została w głąb sceny, albowiem gra sił *Big Three* na razie nie jest skończona. Wiemy dzisiaj, że owi *Big Three* będą mieli po wojnie cały sprzęt wojenny i wszelkie niemal zasoby wojenne. Nie wiemy jednak, jak użycją swojej siły. Czy zechcą niejako przekazać swoją siłę obszerniejszej organizacji, na jej potrzeby? Nie wiemy, ale to wiemy, że samo jeszcze zredukowanie siły do dwóch czy trzech "wielkich" nie przesądza sprawy pokoju. Przeciwnie, tworzy niebezpieczne skupienia siły.

Bez postawienia zagadnienia bezpieczeństwa świata, wojny tej nie będzie można nazwać wygraną. Oznaczać to bowiem będzie tylko pokonanie imperializmu niemieckiego, przetrącenie mu krzyża na czas dłuższy, jeżeli nie na zawsze. Zdaniem wielu ekspertów, jeżeli istotnie rozbije się armię niemiecką, zniszczy sam zarodek sztabu generalnego Rzeszy, jeżeli znieśnie się ciężki przemysł i będzie się kontrolować Rzeszę przez czas jakiś — Niemcy przestaną być mocarstwem pierwszej klasy. Myśl ta wydaje się wcale bliska prawdy. Program taki jest wykonalny — jeżeli będziemy tylko tego chcieli. Ale pokonanie Niemiec nie załatwia nam sprawy pokoju. Pozbywamy się — jeżeli rzecz z Niemcami doprowadzimy do końca — jednego zakłóciacza pokoju. Nie tworzymy jednak przez to ery pokoju.

Pokój zaś nie zawita przez to tylko, że dwa, czy trzy, czy cztery wielkie mocarstwa będą miały broń. Trzymanie Niemiec w szachu jest zadaniem zbyt łatwym dla trzech wielkich mocarstw: może to zrobić jedno mocarstwo jeżeli Niemcy istotnie się obezwładni. Mocarstwa te muszą uzgodnić swoją politykę pokoju — co najmniej tak, jak uzgodniły politykę wojny. Wtedy dopiero będziemy mogli żywić nadzieję, że nie wkroczyły w erę nowych starć, nowej konkurencji mocarstw, nowego wyścigu zbrojeń, nowych podejrzeń — na największą skalę.

### GOSPODARKA I PLANOWANIE

Trzecim momentem, o który zaczepić się winna sprawa pokoju to program gospodarczy. Postawienie planu, realnego planu, odbudowy gospodarczej, otwarcie nowych możliwości przez prace budowlane: budowę dróg, kolei, i t.d. w skali europejskiej — oto drugi odcinek, na którym można położyć podwaliny pod zespolenie Europy. Amerykańskie plany, ażeby w dolinie Dunaju przeprowadzić wielkie roboty inwestycyjne na wzór T.V.A. w U.S.A. /Tennessee Valley Authority, twór, który kojarzy inicjatywę państwową z inicjatywą społeczną/, są w tej mierze wielce obiecujące.

Ale całe zagadnienie planowania musi być traktowane krytycznie i z umiarem. Pisze się setki tomów o potrzebie planowania, ów *planning* jest modny, przy czym wielu autorów nie dostrzega, że te rzeczy już były — w państwach totalnych, które pierwsze wymyśliły planowanie, czterolatki, pięciolatki i t.d. Oczywiście, na swoją obronę ci zwolennicy *planning'u* — mogą powiedzieć, że wszystko zależy od tego kto planuje. To jasne, że gdyby n.p. planowaniem w Europie kierowali Anglicy do spółki ze Szwajcarami i Szwedami, to można by się spodziewać doskonałych wyników i zadowolenia wszystkich, albowiem byłoby to planowanie ludzkie, liberalne. Jeżeli jednak będą planować inne narody, albo specjaliści narodów nie tak liberalnych i wyrobionych, możemy być świadkami nieludzkiego, by tak rzec, planowania. Bada to przewagi urzędnicze, głupstwo urzędowe, ciasnota profesorsko-biurokratyczna. Bada to schematy profesorów zamiennych na urzędników i urzędników pouczających społeczności no profesorsku. Teżo należy się obawiać.

Doskonały i ludzki ekonomista, człowiek mądry, prof. Hayek, ogłosił niedawno książkę, która cieszy się powodzeniem w Anglii — albowiem jest to książka prosta i zrozumiała. Bez balastu uczoności,

Hayek tłumaczy w swej pracy "The Road to Serfdom", że — widział te wszystkie wspaniałości gdzie indziej. Zaczynało się to w Rzeszy pod hasłem planowania i skończyło niewolą obywateli. Prof. Hayek potwierdza obawę tych obserwatorów, którzy widzieli również "młokozę początki" w Niemczech i "żałosny koniec" tych czterolatek i wtrącania się państwa wszędzie.

Planowanie prowadzić może do gospodarczego totalizmu, do niewoli społeczeństw, jeżeli nie będzie utrzymywane w ryzach zdrowego rozsądku, jeżeli nie będzie brało pod uwagę czynnika ludzkiego. *Human element* nie może być poświęcany na rzecz teoretyków, nieludzkich profesorów, suchych maniaków liczenia i statystyk. *Human element* musi być uznany w pełni po wojnie — inaczej ta wojna skończy się ideowym zwycięstwem totalnej przemocy w państwach zwycięskich.

Przemoc państwa musi być pohamowana. Dzisiaj zapewne już i mniej "dobrzy" Niemcy mają dosyć tej przemocy. Państwo przeholowało i jeżeli nie popuści popręgów obywatelom — będziemy świadkami buntu przeciwko przemocy państwa, anarchii. Jednostka nie będzie mogła i chciała cierpieć tego ustawicznego wtrącania się państwa do wszystkiego. Konflikt państwa z jednostką jest nieunikniony, jeżeli państwo nie pohamuje swoich apetytów.

Anglia rozumie to i dlatego — nie przeprowadzi *planning'u* tak jak to chcą zrobić rozmaici przybysze z kontynentu: ludzie, którzy nie nauczyli się wiele w czasie pobytu w Anglii, którzy zawlekają do tego liberalnego narodu swoje nawyki i namiętności, którzy zanoszą tutaj swoje wątpliwe recepty. Anglia opierać się będzie kontroli państwa, rozpanoszeniu się władzy urzędniczej. Już dzisiaj podnoszą się tutaj głosy ostrzeżenia przeciwko "rządom urzędniczym", wołania o ograniczenie "red tape". Jest to zdrowy odruch społeczeństwa, które wie, że za przewagi urzędnicze płaci się drogą — wolnością obywatela. Było by nieszczęściem, gdyby nowa Polska miała dać się zwieść mirażami nadmiernego planowania, gdyby chciała pójść na pasku teorii, doktryn, rozcinających wszystko jednym zamachem. *Human element* w Polsce musi być uszanowany. Planowanie kosztem obywateli dla zadowolenia urzędniczej fikcji musi być zahamowane — inaczej bowiem stoczmy się po równi pochyłej totalizmu.

Oto w największym skrócie te sprawy, które musimy mieć na względzie gdy roztrząsamy zagadnienie pokoju. Myśl jednoczenia Europy jest w powietrzu, potrzeba skupienia sił rozbitego i skrwawionego kontynentu rozumieją dzisiaj umysły więcej i mniej światłe, rozumieją te pewnie i społeczeństwa Europy. Wstrząsy są nieuniknione, namietności narodowe będą grały, ale właśnie dlatego, że mogą się one rozbić i zaszkościć sprawie zjednoczenia Europy, że Europa nie może sobie już pozwolić na trawienie krwi i sił w zapasach niekiedy domowych — dlatego właśnie trzeba przwiść po wojnie z jasną myślą, dobrą, rzetelnym planem. Trzeba wiedzieć czego się chce i trzeba wiedzieć, jakimi drogami możemy stworzyć w Europie atmosferę przychylną dla uprawy Europejszka.

ZBIGNIEW GRABOWSKI



# Ksiądz Król — kapelan Brygady Podhalańskiej



Zdawało by się niepotrzebne pisanie o tych, co odeszli od nas, w chwili, kiedy na świecie toczy się wojna, kiedy giną setki, tysiące, miliony. Cóż może znaczyć jedno życie ludzkie, gdy jesteśmy świadkami tylu śmierci bezimiennych. Świat umęczony cierpieniem ludzkim zobojętniał na krew i rany, zapomniał miary śmierci, którą kiedyś stosował. A jednak coś woła w nas czasem i kochać, coś woła i targa nagłym przypomnieniem minionego, które pozostało daleko za nami, w chwilach najcięższych, kiedy towarzyszy ubywa z szeregów.

Są śmierci i śmierci. Wielkich i maluczkich, znanych i nieznanych, cenionych i niedocenionych, jak są sprawy Wielkie i małe, ważne i nieważne: Boskie i ludzkie. Są śmierci rozgłoszone, o których długo jeszcze pulsują w antenach świata słowa o nich mówiące i są te, o których nikt nie wie, o których zbyt szybko zapominają nawet przyjaciele, drzewie serdeczni i towarzysze broni.

Taką jest też wymowa śmierci, o której dziś piszę. Śmierci, o której powiedziała mi jedna jedyna klepsydra podpisana przez

Duchowieństwo Wojskowe. "Zginął śmiercią żołnierską dnia 17 kwietnia 1944". To tak dużo i tak mało zarazem. Jedną jedyną klepsydra od tych, z których szeregów odszedł prawdziwy żołnierz Chrystusowy, wierny towarzysz i uczciwy pracownik. Jak tylu innych, co byli przed nim i jak tylu, którzy przyjdą jeszcze, aż się wypełni miara Dobrego i Złego i nadejdzie Dzień bez początku i końca i zapanuje Bóg Prawdy i Miłości. Ten sam Bóg Prawdy i Miłości, którego ksiądz Król, żołnierz Polski i żołnierz Chrystusowy, każdym słowem, każdą myślą i każdym uczynkiem wyznawał.

Był któryś dzień majowy 1940 roku. Stałem na tylnym pokładzie s/s "Chenonceux", zapatrzony w piany smużące za nami, w długą drogę wiodącą z Francji ku brzegom dalekiej Norwegii, kiedy podszedł do mnie jakiś nieznan mi kapitan. Miał na sobie kożuszek przepasany pasem, na głowie beret podhalański z trzema gwiazdkami. Miał do mnie interes. Prosił, aby mu pomóc w zaimprovizowaniu ołtarza na pomoście górującym nad tylnym pokładem, który z kompanią zajmowałem.

—Jutro — powiedział, — będziemy tu mieli mszę, więc trzeba to jakoś urządzić. Potraficie kolego kochany, prawda? — zapytał tak prosto, jakby to samo przez się miało rozumieć, że potrafię.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy nazajutrz, spóźniwszy się na ową mszę świętą, i wcisnąwszy się z trudem na ów górny pomost, na którym chłopaczyska ochotnie zbudowały ołtarz ze skrynek amunicyjnych, ujrzałam owego "kapitana" odwracającego się od ołtarza przy słowach "Dominus vobis cum". Było w jego twarzy wielkie skupienie, jakiś wyraz niespotykanego rozmodlenia, coś z wielkich natchnień, rządzących duszami tych, którzy potrafili wyjść poza zamknięty krąg naszego życia. Była w rysach księdza Króla pogoda i pogodzenie się ze światem złym, któremu trzeba przebaczyć, a może i przede wszystkim pełna świadomość

obcowania z Tym, którego wyznawał i którego Słowo głosił. Był dziwnie daleki w owej chwili, w tym swoim krótkim, na mgnienie oka, zapatrzony się w szare, bezkresne morze, przelewające się w wieczystym ruchu, spienione i zwichrzone grzywami falujących pian morskich, jak musiał być w owe popołudnie nad jeziorem Genezaret, jego Mistrz-Bóg i człowiek.

Był daleki a zarazem, jakże bliski tym spojrzeniem głębokim, sięgającym w głąb serca i mózgu, spojrzeniem, które może mieć tylko człowiek, który poznał Prawdę miłowania bliźniego. A kiedy po raz wtóry odwróciwszy się, wypowiedział "Ite missa...", przypomniało się to samo słowo, pozostawione daleko za sobą, zaklęte w dalekie echo kościółka wiejskiego, na którego stopniach, oczyma wyobraźni, wtedy go ujrzałem.

Stał tak samo, górując wysoko nad rozmodlonym tłumem żołnierskim, jak stać musiał przed wiekami Ten, którego sługa był potrafił. Był wielki swą Małością.

W kilkanaście dni potem — było to 20 maja — po krwawej walce, w której żołnierz krwią i życiem płacił, miałem po raz drugi zobaczyć księdza Króla. I znowu w tej samej roli, chociaż w zgoła odmiennych warunkach, gdzieś w dolince, między Haakvik a wzgórzem 405, w domku norweskim. Miał w nim o 5-jej rano odprawić mszę dziękczynną na prośbę żołnierzy plutonu, z którego pozostało szesnastu. A kiedy wszyscy przystąpili do stołu, przy którym ową mszę odprawiał, widziałem znowu ten sam wyraz twarzy i dalekiego zapatrzania, jakiego byłem świadkiem na statku.

Bo nie z tego świata było królestwo, którego przyjsięcie głosił.

Miał szczególny dar obcowania z ludźmi i podchodzenia do nich z dziwną prostotą: ludzką i serdeczną. Może właśnie ten dar jednal mu serca żołnierskie. Nie chciałbym tworzyć legend, lecz muszę na tym miejscu powiedzieć, że prócz tego daru, posiadał może większą jeszcze łaskę, jaką niewielu wielkich jego po-

przedników posiadało: władzę kruszenia sumień jednym dobrym słowem, jednym spojrzeniem, lub często jednym jedynym dobrym uśmiechem. To też byłem świadkiem, kiedy tych "najbardziej zatwardziały" do wiary przywracał z taką prostotą, z jaką musieli nawracać ongiś apostołowie głosząc słowo Prawdy i Żywota. Byłem świadkiem kilku takich nawróceń ludzi, którzy przedtem z dumą podkreślali swoją obojętność dla spraw wiary.

A potem, kiedy przyszedł znowu dzień krwi, widywałem go często wożącego rannych zarekwirowanym czy pozostawionym nam w spadku przez Brytyjczyków, dobrze na odcinku znanym "Dodgem", którym żołnierze "wyrażali" sobie w żartach wzajemnie:

—Czekaj, bracie, pojedziesz "Dodżką", z księdzem Królem.

Albo: — Czekaj, zabierze cię ksiądz Król.

— Bo istotnie, tam, gdzie był ogień czasem trudny do zniesienia, gdzie było "złe" i głodno, tam na pewno ujrzeć można było księdza Króla. Był "kuli nie bojący" — wierzył. Ratował nie tylko dusze, ale niósł ulgę cierpieniom tych, którzy najwięcej tego potrzebowali. Nosił i zbierał rannych, "dokarmiał" smakołykami i zaopatrywał w "paliwo", chował poległych wespół z podchorążym P. i doktorem B. lekarzem batalionowym, to też ktoś nazwał go nie kapelanem, ale "żołnierskim księdzem".

Ksiądz Króla znał na odcinku każdy — do ostatniego żołnierza. Wbrew przesadom i żartom, nie przynosił jakoś pecha, za to przynosił ze sobą w ciężko wyladowanym plecaku norweskim, dźwigającym z mozołem pod górę, wszystko to, co uważał za potrzebne żołnierzowi. Pamiętam jak pewnego razu — a strzelali niezgorzej — ksiądz Król przyszedłszy na odcinek począł wyciągać z owego plecaka różne smakołyki. A kiedy ujrzał, że kilka puszek z mlekiem i konserwami kupowanymi w kantynie angielskiej w Harstad, zostało podziurawionych, zmart-

wił się tylko tymi dziurami, nie pomyślał o ogniu, pod którym czołgając się aż tu, przeszedł.

Pewnego dnia zapytałem nie-mądrze, czy księdzu wolno strzelać do ludzi, no powiedzmy na wojnie, do Niemców? Uśmiechnął się dziwnie i powiedział:

—Widzicie, z księdzem jest tak, jak i z kijem: jak Pan Bóg dopuści. To może by i ksiądz w obronie własnej i kraju mógł sobie do Niemca strzelić? Tylko tak, aby broń Boże go nie zabić" — poprawił się, jakby mu się nagle wstyd zrobiło, że może kogoś na świecie za wroga uważać i że mógłby kogokolwiek "ukrzywdzić".

Taki był ten dziwny człowiek, dla którego życie było miłowaniem i zaprzeczeniem wszystkiego tego, co stanowi jego treść i jego formę dla nas. A kiedy mu dziękowano za to, co dla nas zrobił, próbował się gniewać, tłumacząc, że "nijak było z pustymi rękoma: nie po ludzku i jakoś nie po polsku, więc dlatego. . .". I nie tylko to, ale miał dla każdego ten sam dobry uśmiech, z którym odwracał się od ołtarza, jeno bliższy, braterski i bardziej ludzki: rozumiejący. Kochał w żołnierzu człowieka, tego człowieka, którego w każdym umiał się doszukać.

Jakie były dalsze losy księdza Króla, nie wiem. Rosja, Bliskie czy Środkowy Wschód? Rzadkie słuchy dochodziły tutaj "na wyspie", do uszu tych, którzy nie potrafilo go zapamiętać. Jak "tam" było nie wiem. Ale pewny jestem, że "tam", gdzieś daleko, gdzie przez te wszystkie lata przebywał z żołnierzem, musiało być tak samo.

I dlatego mi ciężko pomyśleć, że go już nie ma między nami, że zabrakło go w szeregu właśnie w chwili, która nadchodzi. Tak ciężko, jak ciężko musi być umierać na obcej ziemi, po której stąpając, wysoko niósł głowę, w zapatrzaniu na rzeczy dalekie dla nas żołnierzy, do których z sercem podchodził. Ciężko pomyśleć, żyjącym, dla których żył i pracował.

CEZARY SZASZKIEWICZ

# Bohater ghetta — kawaler "Virtuti Militari"



"Wódz Naczelny nadał 18 lutego 1944 roku pośmiertnie srebrny Krzyż Virtuti Militari inż. Michałowi Klepfiszowi z Warszawy".

Ten krzyż nie zawiśnie na jego grobie. Grób ten pozostanie nieznan, jak prawie wszystkie groby żołnierzy wielkiej Armii Podziemnej w Kraju.

Dziwnie, jak sława szła za młodym Michałem. A on sam był zaprzeczeniem wszelkiej za nią pogoni. Był cichy i skromny. Tak, jak jego cała rodzina. Zналиśmy ich wszystkich blisko i dobrze. Ojciec i matka byli nauczycielami szkół powszechnych w Warszawie. Matka, Maria, była kierowniczką jednej z państwowych szkół powszechnych w Warszawie i przez długie lata do wybuchu wojny przewodniczącą Zarządu Głównego Zw. Żyd. Nauczycieli. Rodzice całe swoje życie oddali cichej, ale często, w czasach carskiego reżymu, jakże niebezpiecznej służbie w ruchu socjalistycznym. W tej

skromnej, ale i ofiarnej atmosferze wyrósł ich młody Michał. Uczył się świetnie i warszawską Politechnikę ukończył z odznaczeniem tuż przed wojną.

Pamiętam go za jego czasów studenckich. Co wtorek spotykaliśmy się na zebraniach bundowskiej organizacji akademickiej "Ogniw". Prawie nie przypominam go sobie przemawiającego. Ale zawsze był tam, gdzie trzeba było coś zrobić, gdzie trzeba było bezinteresownie oddać swój czas, energię, a czasami i zdrowie. Jego równowaga duchowa była przysłowowa. I taką była jego wiara w dobroć ludzką. Miał przyjaciół wszędzie. Był Żydem, socjalistą żydowskim. Ale duchowo nie miał nic wspólnego z żadnym ghettem. I wierzył głęboko w Polskę bezghettową.

Miał olbrzymio rozwinięte poczucie obowiązku. Ludzkiego, obywatelskiego. I miał głęboki instynkt wspólnoty losu ludzkiego. I już jako 20-letni chłopak dał temu świadectwo.

Latem 1934 roku w okolicach Nowego Sącza /pod Łąckiem, jeśli mnie pamięć nie zawodzi/, tuż nad Dunajcem rozbudował swoje namioty obóz letni "Zukunftu" /młodzież robotnicza Bundu/. Ale w lipcu nawiedziła tę okolicę straszna powódź, która wyrządziła olbrzymie szkody materialne i kosztowała dużo /jak na owe szczególne, jakże dawne czasy. . . / życie ludzkie. W obozie znajdował się też młody Klepfisz. A rzeka wezbrana, nosiła na swych dzikich falach to część chałupy, to nieży-

we cielsko krowy lub psa. Na wzgórzach, okalających tę najpiękniejszą polską rzekę, zrozpaczeni mieszkańcy okolicznych wiosek w modlitwach szukali pocieszenia i nadziei. Ale oto ukazała się na rzece pół rozwalona chata. A w niej — niemowlę w kołysce. Nad brzegiem wśród wielu innych ludzi stał Michał. Obok niego jego matka. Spojrzeli tylko na siebie. I po chwili Michał borykał się z olbrzymimi falami. Ale zrobił, co uważał za swój ludzki obowiązek. Dziecko uratował i tegoż wieczora przez Polskie Radio nadawano po raz pierwszy nazwisko Michała Klepfisza, któremu starosta powiatowy dziękował za bohaterstwo.

I drugi raz mówiło o nim radio polskie. Tym razem podziemne — "Świt". W pierwszych dniach maja 1943 roku opowiadało o tym, jak w nocy z 18 na 19 kwietnia rozgorzała zbrojna walka na terenie ghetta warszawskiego, jak ludzie od lat głodzeni, słabo, potajemnie uzbrojeni, rzucili się na stórkę lepiej uzbrojonego wroga, by drogą sprzedać swoje życie, by nie pójść dobrowolnie do obozów "pracy", będących faktycznie masowymi mordowniami tysięcy.

Dziś wiemy już dokładnie, że ta walka na śmierć i życie, bez rannych i bez jeńców, była planowana od wielu miesięcy przez robotników żydowskich, zatrudnionych na terenie ghetta w niemieckim przemysle zbrojeniowym. Dziś wiemy, jak bardzo kaci hitlerowscy bali się oporu swoich ofiar i uciekali się do najpodlejszych kłamstw, by

oszukać naiwnych, przyrzekając im w specjalnych odczkach, rozlepianych na murach domów, a podpisanych przez niemieckiego "Komisarza dla Spraw Przesiedlenia Mieszkańców Dzielnicy Żydowskiej" Waltera Troebbensa, że zostaną oni urządzeni lepiej, niż dotychczas, i — co najważniejsze — by nie uwierzyli agitacji Żydowskiej Organizacji Bojowej.

I opowiadając dalej o niezwykłym bohaterstwie bojowników ghetta, osamotnionych w swojej walce, mających tylko za sobą moralne oparcie w podziemnym ruchu polskim z poza ghetta, rozumiejących doskonale, jaki może być fizyczny koniec i rezultat tej "drugiej bitwy o Warszawę", "Świt" wymienił jedno nazwisko — Michała Klepfisza. I to samo powtórzyło się w telegraficznym doniesieniu z Warszawy, przesłanym przez Delegata Rządu: "Zginął bohaterką śmiercią inżynier Klepfisz, członek "Bundu", jeden z filarów zbrojnego oporu". W sprawozdaniu, które przed kilku tygodniami dotarło do Londynu z Warszawy podane zostały bliższe szczegóły zasług Michała Klepfisza w przygotowaniu powstania warszawskiego ghetta. Był on tym, który zorganizował, potajemną oczywiście, wytwórnice materiałów wybuchowych w dzielnicy żydowskiej. I dalej jest powiedziane w tym sprawozdaniu: "Bez pomocy Michała powstanie było by niemożliwe".

Michał Klepfisz zginął w walce już w pierwszych dniach powstania. Ale walka trwała znacznie

dłużej. Po stronie niemieckiej walczyło co najmniej 6.000 żołnierzy SS i Gestapo. Niemcy walczyli tchórzliwie, nieraz uciekając i przez pierwsze dwa tygodnie nie śmieli w nocy w ogóle wejść na teren ghetta. Przeciwno ludziom uzbrojonym najwyżej w karabiny maszynowe i granaty ręczne użyli czołgów, artylerii i nawet samolotów. Palili całe ulice, zanim odważyli się w nie wstąpić.

Jeszcze w połowie czerwca, a więc w 7 tygodni po rozpoczęciu walk, bojownicy prowadzili wciąż walkę podjazdową na terenie ghetta. O klęsce moralnej Niemców świadczy chociażby fakt, że w maju 1943 r. został usunięty ze stanowiska szefa Gestapo okr. warszawskiego von Sammer, któremu kierownicze czynniki hitlerowskie zarzucały, że był winien temu, że około 1000 Niemców zginęło podczas walk w ghetcie.

W tych strasznych dniach na ulicach polskiej części Warszawy kolportowana była odezwa Centralnego Kierownictwa Ruchu Polskich Mas Pracujących, w której, m.in. było powiedziane: "Robotnikom i pracownikom narodowości żydowskiej. . . przesyłamy braterskie pozdrowienie i zapewnienie, że czyn ich nie przejdzie bez echa. Wejdzie on w legendę Polski walczącej, stanie się wspólnym dorobkiem ludu Polski, dorobkiem, na którym wzniesiony zostanie gmach odrodzonej Rzeczypospolitej".

I razem ze sztandarami zwycięskich wojsk przez Aleję Ujazdowską i przez spaloną ulicę Smoczą przejdzie sztandar, który wisił na samotnej barykadzie ghetta. I na Wielkiej Rewii, gdy na baczność staniami przed duchami żołnierzy wielkiej armii wolności, którzy walczyli o Polskę, zobaczymy wśród nich bojowników warszawskiego ghetta i chorążego tych bojowników — Michała Klepfisza.

LUCJAN BLIT

Staraniem P.E.N. Klubu Polskiego odbędzie się w lokalu "Ogniska Polskiego", 45, Belgrave Sq., S.W.1. w dn. 25 maja /czwartek/, o godz. 6.15.

Odczyt DR. JANA SLIWIŃSKIEGO, p.t. "Music in Poland" ilustrowany płytami gramofonowymi Wstęp bezpłatny.

KONCERT TOLI KORIAN I ADELI KOTOWSKIEJ

W czwartek, 1. czerwca o godz. 7.15. wiecz. odbędzie się w Klubie "Orla Białego" koncert, w którym wezmą udział:

TOLA KORIAN — pieśniarka ADELA KOTOWSKA — pianistka Wstęp wolny.

Staraniem P.E.N. Klubu Polskiego odbędzie się w Ognisku Polskim, 45, Belgrave Sq., S.W.1. w dn. 31 maja /środa/, godz. 6.15.

Wieczór autorski ANTONIEGO BOGUSŁAWSKIEGO, ze słowem wstępnym Waława Grubińskiego. Wstęp 2/6, dla szeregowych 1/- na Fundusz Pomocy Pisarzom w Polsce

# Wizyta w Dywizji Karpackiej

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Żołnierze Karpackiej niosą rannego

I.  
Nielatwo jest dotrzeć do zagrzebanej w śniegach Dywizji Karpackiej. Wóz jednak przebrnął przez zasypany i zadykmi i stoi teraz na dziedzińcu przed kasynem. Pasażerowie przytupują, a kierowca prawdziwie po polsku "zabija" rękami dla rozgrzewki. Jest to wysoki mężczyzna z wąsami, ma wygląd sandomierskiego chłopca. Pochodzi z Kanady.

Mamy więc gości — siedmiu korespondentów zagranicznych. Zanim dokonamy aktu prezentacji, czytelnicy pozwolą, że zedrzymy welon tajemnicy, osłaniający cel tych odwiedzin. Symboliczny guzik, po którego naciśnięciu spada na nas ta lawina następstw, znajduje się w brytyjskim ministerstwie wojny w Londynie. Naciśnięciem guzika była depesza do VIII-ej Armii, zapowiadająca, że lada dzień zostaniemy zdemaskowani. Wtajemniczonym ten termin wystarczy. Oznacza on, że wolno nam będzie z powrotem nałożyć orzełki i przyszyć emblemat świerka na rękawy. Od tej depeszy — mówiąc stylem mojego przyjaciela spod Żywca — "okazaliśmy się być we Włoszech."

Gdy to czytacie, dawno już radio brytyjskie, kanadyjskie, amerykańskie oraz prasa codzienna i tygodniowa sprzedała w milionach egzemplarzy nasz pobyt u stóp Abruzzów. Powiedzmy jednak czasowo, który niecierpliwie wyskakuje naprzód, władze wojskowe "wróc" i wejźmy ze skonanymi dokucającą drogą gośćmi do kasyna.

Czujecie to przyjemne ciepło, jakie rozchodzi się od kominka? Patrząc, jak John Redfern z *Daily Expressu* zaciera nerwowo ręce na widok zastawionego stołu, aby tym objawem ożywienia ukryć wilczy apetyt, wyzieraający mu z oczu. Benoit Lafleur, trochę groteskowy, przez co jeszcze bardziej wzruszający typ francuskiego Kanadyjczyka, wpakował beceremonialnie nogi w komin — truchleją, że usmaży sobie buty. Paul Morton, młodzieniec o powierzchowności

Leslie Howarda, przykładowy typ astenika, wrzucił się w fotel i ogląda nonszalancko sufit. Nie musiała przedstawić się zachęcająco ta wizyta u Polaków, okupiona odyseją przez zaśnieżone góry. Dziennikarze od t.zw. *newsów* /po polsku — "szlagerów"/ jechali z posępną świadomością, że Alamein im nie zagraża. Korespondenci *stories* /opowiadania/ szybko zestawili w pamięci wszystkie reportaże o Tobruku, Gazali, Polakach z Rosji i t.d. i sposepniali również, orzekłszy, że "Polska jest wybrana do dna przez kolegów."

W tych warunkach zadanie gospodarzy wydawało się nad wyraz trudne. A jednak nie ugięliśmy się pod jego ciężarem. Zawdzięczamy to niezawodnemu środkowi oliwacemu dusze radością i siejącemu błogą harmonię między ludźmi. Myślę — rzecz jasna — o whisky "White Horse" Johna Dewersa.

Jakoś nagle wszyscy poczuli się dobrze. Sam nie wiem dlaczego jestem z astenikiem Paul'em per "my dear friend." Benoit Lafleur poklepuje rzesiście po plecach jedynego przedstawiciela ziemiaństwa kresowego. Przy

kominku kasynowym Pat Conger z *United Press* prowadzi niezmiernie namiętną rozmowę z porucznikiem, o którym wiem, że nie rozumie po angielsku.

Morton lubi studenckie dyskusje i wierzy, że Rosja zbawi świat, jeżeli tylko wyrzekniemy się naszych nierozsądnych praw do życia. "Poco" — powiada Paul — upieracie się przy waszych polskich błotach, kiedy wzamian możecie dostać coś znacznie lepszego. Chcecie, to założymy wam nową Polskę w Kanadzie. Mamy świetną whisky i doskonałe papierosy. W potokach łowi się mnóstwo łososi i pstrągów. Polowania udają się znakomicie. Dostaniecie śliczną nową ojczyznę."

Zachwycał się tą kanadyjską Polską, jakby to był największym modelem Packarda. Z największym trudem wytłumaczyłem Mortonowi, że w Europie istnieją wciąż jeszcze ludzie, przekładający romantyczny wóz drabiniasty nad samochód o sile stu koni.

Gdyś wychodzili z kasyna, czarna noc wisiała nad światem. W drodze do domu uświadomiłem sobie, że śnieg pod nogami skrzypi tak samo, jak w wigilię 1935 roku na rogu Złotej i Marszałkowskiej. Nie wiem, czy Morton zrozumiałby mnie w tej chwili.

## II.

Rano kolumna *jeepów*, poprzedzana kanciastym żandarmem na motocyklu, ślizga się posłusznie po zwojach górskich szos, spływając ku wojnie. Z łoskotem wjeżdżamy na mostki saperskie o powierzchni z drewnianych bali, po których samochód dudni jak po klawiaturze fortepianu.

W Isernii do dziś dobywają spod gruzów trzy tysiące poległych, udużonych i zasypanych żywcem. Nalot trwał dziesięć minut. Całe dzielnicie sterczą jak piszczele zwłok, ogrzyzionych przez wilki.

Był to kataklizm, o jakim człowiek średniowiecza nie śnił w najbardziej gorączkowych majaczeniach. Na ciche miasteczko spadła

pewnego wrześnieowego popołudnia huraganowa śmierć. Niewidzialna furiacka pięść tłukła na oślep po mieście, po kruchych domkach, po renesansie, po baroku, po zaułkach, gdzie słońce wiosenne sączy się jak przez witraże, po arkadach i podcieniach, zbudowanych przez lud włoski — tego natchnionego prostaka i genialnego artystę.

Isernia znikła nam z oczu i nowe obrazy kładą kres rozważaniom o ginącym pięknie Italii. Tor kolejowy, biegnący równolegle do drogi zniszczony jest totalnie, zwalono go z zimnym wyrachowaniem. Ale jedna mała stacyjka ustrzegła się zagłady. Stoi cała jak pień. Zachował się nawet rozkład jazdy na ścianie poczekalni i okienko kasy biletowej. Chciało by się stanąć przy nim i czekać na nadesięcie kasjera. Tylko dokąd pojechać?

Im bliżej frontu, tym ziemia bardziej potłuczona jest przez wojnę. Złe moce potargały domy, pozdmuchiwały jakieś rodziny, jakieś plany życiowe.

W pewnym miejscu każą nam opuścić samochody. Teren znajduje się pod obserwacją nieprzyjaciela. Poczucie niebezpieczeństwa nie przynika jednak do świadomości. Gdzieś o siedem kilometrów, po drugiej stronie doliny są niemieckie posterunki obserwacyjne. Nikt nie potrafi ich jednak dostrzec. Przechodzimy odcinek drogi w pojedynczych grupach i jesteśmy w rejonie stanowisk. Po drodze widać żołnierzy. Na tle śniegu są prawie niedostrzegalni.

Życie na stanowiskach płynie na pozór pokojowo. Ktoś wychodzi na patrol, ktoś wraca. Tadek Sowiński, poeta — Karpatczyk, zakwaterował się w starożytnej ruderze, szczerka zębami z zimna i zapewne tęskni do Sharbashakh.

Sam fakt mieszkania w domu wydaje mu się czymś niezwykłym. Po tylu latach pustyni, płóciennego dachu i wólcęgi, wrócił nagle pokój z firankami w oknach, komodą i obrusem na stole. Dziwne i zabawne. Trzeba było aż przyjechać na front po to, aby mieć znowu numer domu.

## III.

Z jednego stanowiska przerzucamy się na inne. Jesteśmy w miasteczku, jakie widywało się jedynie na obrazkach dla dzieci. Uczepione jest do skały i spada urwiskami we wszystkich kierunkach. Nigdy nie przypuszczałem, że coś podobnego może istnieć naprawdę.

Dla odwiedzających ważny jest fakt, że miasteczko wyparło się samochodów. Żaden *jeep* nie potrafi wspiąć się na ten apeniński Monsalvat. Kosztuje to około godziny rzetelnej wspinaczki. Nie żałuje się jej jednak po obejrzeniu tego małego klejnotu architektury.

W miasteczku wciąż jeszcze rozgrywa się pierwszy akt "Rigoletta". Czasem otworzy się okno w ciasnej uliczce i podnosisz głowę, by ulowić aksamitne spojrzenie i uśmiech dziewczęcy. W oknie



Na stanowisku ogniowym artylerii Karpackiej

ukazuje się jednak wąsata twarz w hełmie stalowym. Na balkonach stworzonych do arii z gitarą, wiszą niemieckie hełmy i inne trofea z wyprawy w *no-man's land*.

Na pustym placu przed barokowym kościołem radio wyhukuje komunikat polski z Londynu. W opuszczonej tawernie włoscy *comandos* piją wino z żołnierzami Dywizji Karpackiej. Patrol odchodzi w ziemię nieczyją. O bogowie, gdzież publiczność od tego spektaklu, który pisze się sam i gra się sam na tej nieporównanej scenie!

Orły krążą nad tym urwiskiem. Czasem "latające fortece". Czasem nasz patrol spotka się w *no-man's landzie* z niemieckim. Wtedy głucho dudnią salwy. Czasem świeci słońce, niekiedy śnieg prószy. Czas płynie, ludzie przychodzą i odchodzą, tylko góry urwiste, srebrne Apenniny trwają niezmiennie, urągając wojnie i kruchości ludzkich spraw.

## IV.

Ostatnia wyprawa zaprowadziła nas na szczyt wyniosłej góry, gdzie w skałe i lodzie biwakuje samotny oddział polski. Wspinaczka trwała około godziny. Paul Morton oświadczył z miejsca, że namawianie dziennikarza na takie końskie spacerki jest idiotyzmem, a poza tym dali mu na komisji kategorię "D". Po czym wspiął się jak koza na szczyt, wyprzedzając nas co najmniej o dziesięć minut.

Rycerskość gospodarza nakazała mi pozostać w ogniu maruderów. Na szczycie odnajduję Mortona i Congera, "wstukujących" się w napotkanych żołnierzach.

— Skąd pan się tu wziął?  
— Z Rosji.  
— Co pan tam robił?  
— Pracowałem na Kałymie.  
— Ile pan ma lat.  
— 47.  
— Czy był pan przedtem na jakiejś wojnie?  
— Chyba! Gdybym nie bił się w dwudziestym roku, nie polował-

## CASSINO

W tydzień po wejściu do akcji II. Korpus polski we Włoszech osiągnął powodzenie wielkiej, największej skały. Zatknął dnia osiemnastego ma ją biało-czerwony sztandar na gruzach klasztoru w Cassino, który od pięciu miesięcy zagradzał wojskom sprzymierzonym drogę w głąb ziemi włoskiej. Znaczenie strategiczne tego zwycięstwa jest doniosłe i zostało w pełni docenione. Ale ma ono jeszcze inny sens, kto wie czy nie bardziej istotny — polityczny i moralny.

"Nie była to tylko bitwa o Cassino, była to bitwa o Polskę" — w tych słowach dowódcy II. Korpusu streszczył ten drugi sens czynu podległych mu żołnierzy. Wspinając się po urwistej, stromej górze, ziejącej morderczym ogniem — pokazali oni światu, że istnieje ciągła, nieprzerwana linia, prowadząca od września 1939 roku, przez Balkany, Syrię, Palestynę, Egipt, przez rozłogi Rosji europejskiej, Rosji azjatyckiej, Persję, Irak — linia konsekwentnej walki przeciw Niemcom. Przecież to żołnierze wrześnieowi, jeńcy po-wrześnieowi, "turyści" po-wrześnieowi szli na bunkry, blokhausy, gniazda karabinów maszynowych wszczepione w spadziste zbocza góry klasztornej. Przecież to uczestnicy bitwy polskiej, oblężenia Tobruku, ataku pod Gazalą wytrzymali straszliwy wysiłek natarcia czołowego w najtrudniejszych, jakie można pomyśleć, warunkach terenowych.

Jednym uderzeniem, pełnym mekskiej dumy żołnierze II. Korpusu obalili perfidny, oszczerczy sztafaż propagandy, montowanej przeciw nam z wielu stron, od wielu lat. Odpowiedzieli na nią językiem o nieodpartej dobitności, argumentem o uderzającej każdego oczywistości. Pokazali Niemcom, jak się biją żołnierze "państwa, którego nie ma", "armii, która przestała istnieć po dwu tygodniach". W starciu wręcz, w walce na bagnety z wyborowym, najbardziej fanatycznym żołnierzem Hitlera pokazali, iż "nie chcą się bić z Niemcami", pokazali, jak to na swój, polski sposób — "zdradzają sprawę sojuszniczą".

To jest bijący w oczy wymowa polityczna bitwy pod Cassino. Staje się ona jeszcze bardziej wyrazista, jeśli się przypomni, że olbrzymi odsetek żołnierzy II. Korpusu pochodzi z ziem wschodnich Rzeczypospolitej, że przeszli oni przez lata niewoli, zesłania i cierpienia, że ostatnie miesiące były dla ich "moralne" ciężką próbą. W ogniu walki okazał się to żołnierz z hartowanej stali, żołnierz najlepszej próby, zdolny do podjęcia zadania trudnego, najtrudniejszego, zdolny spełnić to zadanie bez reszty.

Wbrew wszystkiemu, wbrew nawet naszym własnym powątpiewaniom i obawom, krwawo doświadczanie pod Cassino objawiło zdrowie, siłę, zwartość, nerwową wytrzymałość, fenomenalną odporność polskiej rze-

szczy żołnierskiej. W rozpoznaniu tej prawdy ważny jest nie tylko fakt wytrzymania siedmiodniowego natarcia, ale także niezwykle wysoki procent strat w kadry dowódczej, nawet wśród dowódców wyższych.

Wszystko to składa się na moralny sens zwycięstwa pod Cassino. Ma ono znaczenie jako sprawdzian i jako przykład — jako sprawdzian wartości najwyższego rzędu i jako przykład na dni próby, które stoją jeszcze przed naszymi Siłami Zbrojnymi.

Ale dokonanie, które w tak wielkim stopniu przekracza granicę czynu wojennego, czysto wojskowego, które w tak wielkiej mierze ma znamiona wydarzenia politycznego i zwycięskiej próby moralnej — jest czymś, co zobowiązuje nie tylko żołnierzy, jest czymś, co zobowiązuje wszystkich myślących i czujących po polsku, wszystkich w jakimkolwiek zakresie odpowiedzialnych za dobro sprawy polskiej.

Żołnierze spod Cassino, i ci, którzy doszli na szczyt, mieli szczęście salutować sztandar wpływający pod włoskie niebo, i ci, którzy ustali na stokach zdobyte cytadeli, żądają od nas nie tylko udziału w zapracowanej przez nich radości i dumie, żądają także udziału — zgodnego, szarmonizowanego, ofiarnego — w ich krwawym trudzie.

ALEKSANDER JANOWSKI

WITOLD DOMAŃSKI

# Sady kwitną na Wołyniu



Na lekcji gimnastyki

Morze jest spokojne i szare. Sobota popołudniu, więc dużo ludzi wyległo na promenadę. Jedni spacerują, inni wygrzewają się na słońcu. Jakaś rodzina rozkłada podwieszki na ławce. Dzieci grają w klasy na chodniku. Tu i ówdzie żołnierze stoją oparci o balustradę i żartobliwie zaczepiają przechadzające się dziewczęta. Starsza chuda pani prowadzi zapaśnionego buldoga na smyczy. "Sorry", "Lovely day!..." "So sorry". Typowy week-end w typowym miasteczku nadmorskim.

Po drugiej stronie promenady stoi szereg domków. Przedwojenne wille, hoteliki i pensjonaty, stoją dziesiątkami, setkami, bliźniaczko do siebie podobne. Jak w dziesiątkach, setkach innych miasteczek. Tyle tylko, że zamiast wesołych w barwne stroje ubranych letników, w domkach tych mieszkają kobiety w niebieskich mundurach. Rozbrzmiewa w nich dziwny, dotąd w tych okolicach nieznaną język. Domki te, to kwatery pięciuset ostatnio przybyłych z Afryki ochotniczek do Polskiej Pomocniczej Służby Lotniczej.

Okna pokoju wychodzą na północ i blask słońca widać tylko na ścianie domu naprzeciwko. Ośm czy dziesięć przepiślowo zasłanych łóżek, na środku stół nakryty białym obrusem. Deski niedawno wyszorowanej podłogi są jeszcze mokre, w powietrzu unosi się zapach wilgoci.

Konstancja siedzi na krawędzi materaca i czyści złote guziki munduru. Ma siwe oczy i czarne krótko obcięte włosy. W ramach sztywnego kombinezonu WAAF-owskiej koszuli twarz jej wydaje się specjalnie szczupłą i drobną. Konstancja ciągle zaznacza, że jest już starszka. Ma lat 35.

"A dobrze było, nie można się uskarżać" — mówi śpiącym głosem — "zaczynamy od samego początku, ale Pan Bóg pozwolił i dorobili się. Dwanaście hektarów ziemi ornej i cztery sianokosu. I sadek mieli, a jakże, była pięć sztuk, dwa konie, dziesięć owiec. Dobrze było, nie można powiedzieć".

Po pobraniu umundurowania



ly długim sznurem czołgi. Wkrótce zaczął się na wsi niepokój, pojawiły się bandy obce, zaczęli nadozierać, grozić, nalegać. Gdzieś w listopadzie umarł jej mąż i została sama z dwojgiem małych dzieci. W parę dni potem przyszedł komisarz. Zabrał bydło. Potem konie. Potem już na oczach Konstancji obcy ludzie zaczęli jej własny grunt odmierzać i dzielić między sobą.

Aż wreszcie w styczniu 1940 roku zajęła rankiem ciężarówką przed dom i kazali Konstancji wsiadać. Nie wiedząc, gdzie ma jechać i poco, zapakowała na przedce co najcenniejszego, chustkę jakąś, dwie puchowe poduszki wyprawne, ręcznie haftowane przesieradło i pojechała. Na stacji w Stołpcach pierwszy raz w życiu wsiadła do pociągu. Mimo próśb i protestów, dzieci jej załadowano do innego wagonu. W dwa dni później w zapchanym masą ludzką pociągu wyruszyła w świat.

Od tej chwili opowiadanie jej zaczyna się gmatwać. Pojawiają się w nim nowe słowa — "szałon", "medewede". Nie pamięta nazwy obozu, w którym przebyła półtora roku, nie pamięta, dokąd wysłano jej dzieci.

Następny epizod, o którym mówi dużo, długo i boleśnie, to poszukiwanie dzieci. Zwolniona z obozu, dowiedziała się od sąsiadów ze wsi adresu sierocińca. Nie miała pieniędzy, a może nie mogła się dostać na "szałon", więc wyruszyła na piechotę. Po tygodniu, brnąc po śniegu, błocie, zgłodniała, dotarła do odległego miasta i odnalazła sierociniec, ale dzieci tam już nie było. Odesłano je gdzieś indziej. Więc znowu "szałon", znowu poszukiwania, znowu zawody.

Gdzieś w zapadłej miejscinie, zgubioną w głębi obcego lądu, znalazł ją ktoś, obiecał szukać dzieci, a samą dołączył do transportu i odesłał na południe.

Dalszego ciągu podróży w żaden sposób odszyfrować nie można. Jest dużo "szałonów," są "parochody". Są morza — trzy czy cztery, bo nie pamięta, są góry wysokie i piasek, pustynia. Persja? Palestyna? Może była w Indiach? Nie wie.

W Afryce, w osiedlu polskim w Masindi, przemieszkała prawie rok. Żle nie było, tyle tylko, że gorąc, że chorowała na malarię i jak wszystkim polskim osiedleńcom, dokuczały jej jakieś "pchełki", wżerające się w skórę i pozostawiające wrzody. Mieszkała w domku z trawy i bała się murzynów. "bo to takie czarne — mówi — i głowa, i nogi i caluski!" Potem jednak strach jej minął, bo i murzyni nauczyli się po polsku i często kupowali od nich owoce, albo kury. Też ludzie.

W ośrodkach afrykańskich dawano Polakom kawałki ziemi do uprawy. Na moje pytanie, jak jej się gospodarstwo w Masindi podobało, Konstancja zaczyna się śmiać:

"Gospodarstwo, paniczka?! — i zaśmiewa się — grunt?! Tak to tyle tego było co przez tę izbę, grządką jedna! Tylko, że człowiek buraczków trochę a cebulki posiał, ani mówić o czym nie ma!" — Śmieje się, aż jej oczy łzami zachodzą.

Obecnie dwie poduchy wyprawne sterczą dumnie na żelaznym łóżku RAFowskim, haftowanym ręcznie przesieradłem nakryty jest faszowany kuferek. Airwoman Konstancja J. przybyła do Anglii. Podróżuje. Po co? Dlaczego? Przecież ten olbrzymi i bezmierny świat, który przejechała, oszołomił ją, ale nie zainteresował. Mało z niego przejęła, mało w nim zobaczyła.

Konstancja chce wrócić do swojej ziemi. Konstancja chce wrócić do świata, do którego należy, jak drzewo należy do ziemi. Do świata wapnem bielonych chat, smukłych brzoź i różnokolorowych malw. Świata przejrzystych ranek i wieczorów tak spokojnych, że słychać skrzywienie zórawia w sąsiedniej wiosce. Ciągłe jeszcze szuka swoich dzieci, ciągle się o nie bezradnie i każdego pyta. Ale dzisiaj na ten powrót ma swoje własne, filozoficzne spojrzenie. Kiedy zapytałam ją, dlaczego zgłosiła się do lotnictwa, Konstancja poprawiając sztywny kombinezon koszuli WAAFowskiej odpowiedziała: — "Żeby pomóc. Co się tak będziemy tułać i tułać?! Jak nie ja i moje, to niechaj cho-

ciąż cudze dziecka wrócić". Po prostu.

Konstancja jest jedną z pięciuset Polek, przybyłych niedawno z Afryki do służby w lotnictwie. Przybycie tak wielkiego transportu postawiło poważny problem przed władzami departamentu szkolenia technicznego Królewskiego Lotnictwa, któremu podlegają, w ramach WAAFu, oddziały polskiej Pomocniczej Służby Lotniczej Kobiet. Wobec bardzo różnorodnego poziomu wykształcenia — od dyplomów uniwersyteckich do kilku oddziałów szkoły powszechnej — trzeba było zorganizować szereg specjalnych kursów; trzeba było ponadto wprowadzić od razu forsowną naukę języka angielskiego, który ze względu na przyszłą służbę na lotniskach w Wielkiej Brytanii wszystkie ochotniczki muszą chociaż w pewnej mierze opanować.

Szkolenie nowo-przybyłych odbywa się częściowo pod kierunkiem polskich, a częściowo brytyjskich oficerów i podoficerów. Na bulwarze nadmorskim widzi się dywizyjny polski wykonujący sprawnie musztrę angielską, pod angielską komendą. Tak samo w wielkiej sali odbywa się, pod kierunkiem angielskiego oficera oświatowego, zbiorowa lekcja angielskiego.

Jak sobie z tym obcym językiem dają nasze ochotniczki radę? Zdziwianą dobrze. Na polecenie "Put your hand on your head" Konstancja J. i wiele jej koleżanek położy pewno rękę na kolanie. Ćwiczenie będzie powtórzone, raz, drugi, trzeci, aż wreszcie wszystkie zrozumieją i zrobią je dobrze. Tak samo na musztrze. Sierżantki czy kapranki angielskie dla ułatwienia sobie pracy wprowadziły system demonstracji na modelach, które stoją przed frontem dywizjonu i wykonują komendy, a za nimi dopiero powtarza ćwiczenie oddział. Aż się nauczy.

Do tego systemu szkolenia potrzebna dwu rzeczy: cierpliwości i dobrej woli. Tak jednej, jak drugiej widziałam na owej stacji RAF bardzo dużo. Oficerowie i podoficerowie za główny cel w okresie szkoleniowym postawili sobie zdaje się pomoc i jak największe ułatwienie pracy ochotniczkom, one zaś, od początku już, do służby swej i obowiązków odnoszą się z ogromną ofiarnością i sumiennością.

Większość ochotniczek, to wieśniaczki, dla których wojsko, musztra i mundury muszą być zupełną, czasami trudną do pojęcia nowością. Zgłaszają się ochotniczo do służby lotniczej w odległej Anglii zrezygnowały one dobrowolnie z możliwości spokojnego przeczekania do końca wojny w Afryce, w niezłych warunkach. Konstancja w swym smutku i osieroceniu nie jest sama, takich tragedii, bolesnych i bezmiernych jest tam, w obozie RAFu, blisko pięćset...

Z tych wielu kobiet, z którymi rozmawiałam, nie mogę zapomnieć jeszcze jednej. Duża, dorodna dziewczyna, o twarzy jasnej i szybkim uśmiechu. Na imię ma Klementyna. Klementyna przyjechała do Anglii, żeby zostać mechanikiem lotniczym. Mówi bardzo dużo o życiu w Afryce, o swych planach w służbie lotniczej, o tym, że

musi się koniecznie nauczyć angielskiego. Klementyna oczekuje jeszcze bardzo dużo od życia i bardzo dużo w nim może zrobić.

Córka gajowego z okolic Kobrynia, została wywieziona z rodzicami i pięciorgiem rodzeństwa. Po paru miesiącach umarli oboje rodzice. Po nich 15-letnia siostra — z głodu. Potem w drodze na południe, na dezynterie, brat.

"Tak go po prostu wyjęli z wagonu i położyli obok toru kolejowego, i pociąg odjechał". — Klementyna mówi to wszystko głosem spokojnym, wskazując ręką ziemię. Potem, nagle, zaczyna histerycznie płakać, ale opanowuje się, mówi dalej: — "Na jakiejś malej stacyjce wysiadł najstarszy brat, 20-letni, po wodę; pociąg ruszył, zanim zdążył wrócić i od tej pory już ślad po nim zaginął. Dalej jechaliśmy we troje: młodszy brat, siostrzyczka i ja". Potem, już u kresu podróży chorowali na tyfus. Brat umarł. Z rodziny ośmiu osób zostały dwie dziewczyny — Klementyna i jej młodsza siostrzyczka, która obecnie jest w polskiej szkole w Tanganice. — "W Palestynie to na mnie mówili "glupia" — powiada Klementyna. — "Bo ja i naprawdę byłam głupia". — I potakuje głową.

Klementyna jest pełna entuzjazmu. W służbie lotniczej poza obowiązkami widzi przyjemność, bawi ją trochę rygor wojskowy, interesują przepisy, musztra. Klementyna na 19 lat, jest zdrowa, silna i chce zacząć życie od nowa. Obok niej stoi w szeregu Natalia, Weronika czy Paraska, która ma lat 42 i której siły są już może nieco nadwątlone, której świat już istniał. I razem, jednakowo, wykonują musztrę, grają w siatkówkę na plaży, czy wkuwają angielski.

Wszystkie są zadowolone z przyjazdu do Anglii. W dużej mierze przyczynia się do tego zyczliwość, z jaką przyjęli je Anglicy: władze WAAF, RAF i ludność miasteczka. Po czterech latach tułaczki znalazły się teraz w atmosferze przyjaźni i serdeczności, a im prędzej poznają kraj i język tym łatwiej przyjaźń ta się zacieśni.

Dobry początek został już zrobiony. Trudno nie lubić tych łagodnych, chętnie się uśmiechających kobiet, o gładko zaczesanych włosach i schludnym wyglądem. Trudno skarżyć się na te ochotniczki, które bez grymasów wykonują wszystkie zarządzenia, nikomu nie przysparzają kłopotów, a kwatery swe — po gospodarstwu — utrzymują w takiej czystości, że aż trzeba było zabronić codziennego szorowania podłóg.

Pół świata objechawszy, wieśniaczki polskie zajęły do angielskiego nadmorskiego miasteczka. Przeglądają się sklepem, próbują odczytywać napisy na ulicach, spacerują po wybrzeżu. Dwie z nich spotkałam na promenadzie. Oparte o żelazną balustradę patrzyły przed siebie, na nieruchome, szarzące już po zachodzie słońca morze. Jakby do siebie, kontynuując myśl przerwana, odezwała się jedna, przeciągając śpiwnie:

"A na Wołyniu akuraćku sady kwitną".  
Kwiecień, 1944 roku.

HALINA TOMASZEWSKA

Przymierzanie Waafowskiego munduru



# Lekarz na froncie bojowym

(Na podstawie opowiadań amerykańskich lekarzy wojskowych)

I.

Nie ma dla żołnierza ucieczki przed zasadzkami zagrażającymi na froncie jego życia lub zdrowiu, nawet wiara w cuda nie na wiele się przyda. Jedynym cudem w tej wojnie, w który można i należy wierzyć, jest ludzki cud wiedzy i umiejętności lekarza. Wojna, zwłaszcza wojna nowoczesna, wymaga od lekarza przede wszystkim umiejętności. Obojętne jest dla ranego, czy lekarz jest dobrym żołnierzem z punktu widzenia wojskowego, może być nawet najgorszym, byle by tylko znał swój zawód lekarski. Znaczenie lekarza na wojnie było do niedawna nie doceniane, traktowany był w wojsku jako zło konieczne i lekceważony. Popularnie nazywano go "lewatywą" /o ile posiadał stopień oficerski/, lekarzy szeregowców — "lapiduchami". W niektórych armiach, nawet jeszcze obecnie, pod tym względem, nie wiele się zmieniło.

## LEKARZ WOBEC RANEGO

Zadaniem lekarza na wojnie jest ratowanie życia i zdrowia, przede wszystkim a nawet wyłącznie, ciężko rannych. Tak sprawę postawiono w armii amerykańskiej i angielskiej. W innych armiach nakazywano lekarzom opatrywać wprawdzie lekko rannych, którzyby mogli wziąć udział w dalszej akcji bojowej. Wychodzą tu z założenia użyteczności żołnierza na froncie. Ciężko ranni nie wchodzą już więcej w rachubę jako efekty wojny, więc uważano, że można się nim zająć później, zazwyczaj jednak ciężko ranni giną na polu walki lub w drodze do lazaretu, z powodu spóźnionej pomocy.

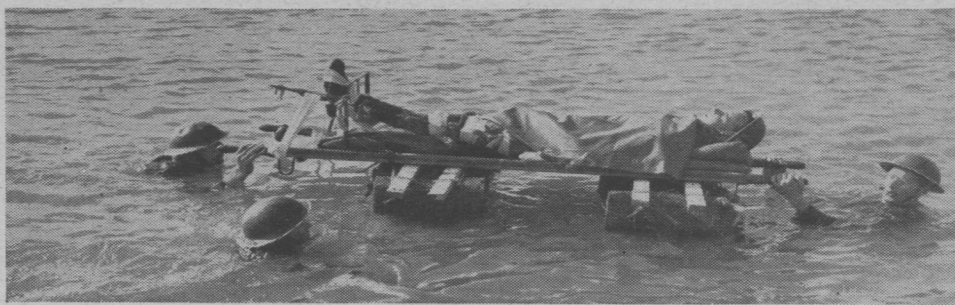
Amerykanie i Anglicy, jak wszystkie inne narody kulturalne, uznają zasadę, że walczący chce widzieć rezultat swej ofiary krwi i zdrowia — dlatego należy go ratować. Państwo nie nie zyskuje na śmierci swego obywatela, przeciwnie bardzo wiele traci, życie i zdrowie żołnierza nawet całkowicie bezużytecznego pod względem wojskowym, jest najcenniejszym dobrem, na którego strażę stoi lekarz. To też lekarz w armiach naszych sprzymierzeńców zachodnich jest wysoce ceniony, niemniej od zwycięskiego generała, który mógł przeciw sukces odnieść przede wszystkim dzięki zdrowiu żołnierzy. Lekarz nie jest w mocy uchronić żołnierza przed bezpośrednią śmiercią w czasie bitwy i to żołnierze rozumieją lecz dzięki jego wiedzy i poświęceniu, ranni i chorzy mają oobrzynie szanse wyzdrowienia a nawet i powrotu na front.

Nowoczesna wojna wysunęła nowe problemy ratowania życia żołnierzy na froncie. Procent śmiertelności wśród rannych w ostatniej wojnie wynosił w armii amerykańskiej 7, w wojnie obecnej spadł do 1,2%. Ranni na froncie nie są jedynymi stratami. Więcej żołnierzy umiera na malarię, czerwonkę, szkorbut lub wskutek niewłaściwego odżywiania, niż od ran w akcji bojowej. Chorzy żołnierze w szpitalach amerykańskich przewyższają prawie trzykrotnie rannych od pocisków. A poza chorymi fizycznie są jeszcze chorzy nerwowo. Choroby ustroju nerwowego nie są bynajmniej lżejsze od uszkodzeń ciała. Około 30 procent żołnierzy w szpitalach przebywa na oddziale chorób układu nerwowego.

## RANY NA WOJNIE

Najpowszechniejszymi ranami na wojnie są obrażenia kończyn /rąk i nóg/, złamania i oparzenia. Rany klatki piersiowej, brzucha lub kregostupa bardzo często kończą się śmiercią na polu bitwy. Śmiertelność wśród rannych w brzuch, którzy przetrzymali czas transportu z pola bitwy do szpitala wynosiła w poprzedniej wojnie 80 procent, dzisiaj procent ten spadł do 5. Postęp taki zawdzięcza się nowym instrumentom chirurgicznym, jak i nowym metodom leczenia każdego typu rany. Lecz rzeczywistym przewrotem w leczeniu wszystkich ran są nowe środki lecznicze jak: połączenia sulfamidowe, przetaczanie krwi, środki przeciwtępcowe, oraz olbrzymie zwiększenie szybkości w niesieniu pomocy ranemu.

Poważnym niebezpieczeństwem dla życia ranego jest wstrząs



nerwów /szok/, krwotok, zakażenie rany i opóźnienie pomocy. Wiedza i organizacja właściwie pokonały te cztery niebezpieczeństwa. Większość żołnierzy i marynarzy, którzy zginęli w ostatniej wojnie z ran, mogłaby żyć, gdyby już wówczas były stosowane środki przeciwtępcowe i przetaczanie krwi oraz gdyby już były wynalezione sulfamidy.

Ofiary wstrząsu, wywołanego eksplozją pocisków, to nie ranni w tym zwykłym znaczeniu, niemniej uszkodzenia ich ustroju są bardzo ciężkie. Nie mają otwartych ran, nie krwawią, wydają się jakby popadli pod działanie jakiegoś tajemniczego bakcyli wojennego, który powoduje doprowadzające do szalu głębie, zataczania się, zawroty głowy lub siedzenie przez długi czas bez najmniejszego ruchu.

## "SUCHA KREW" I SULFAMIDY

W wypadkach wstrząsu stosuje się choremu dożylnie zastrzyki krwi. Ten prosty środek znany był na wiele lat przed 1918 r., jednak wówczas nie odkryto jeszcze sposobów przechowywania krwi i oddzielania części płynnej od stałej. Odkrycia tego dokonał dopiero w r. 1936 rosyjski lekarz S.S. Judin, w czasie prób doświadczalnych nad transfuzją krwi z ludzkich zwłok. Obecnie we wszystkich niemal państwach zbiera się krew od ochotniczych dawców, którą po odpowiednim spreparowaniu dostarcza się w stanie suchym do szpitalów polowych.

Stosowanie krwi w wypadkach wstrząsu lub krwotoku usunęło w znacznej mierze niebezpieczeństwo zagrażające życiu żołnierza. Dwie inne przyczyny śmierci — opóźnienie i zakażenie — są ściśle od siebie zależne, musi bowiem upłynąć pewien czas, aby nastąpiło zakażenie. Dawniej uważano, że ranni mogli pozostać bez opatrunku najwyżej 6 godzin, nie narażając się na niebezpieczeństwo zakażenia. Dzisiaj jednak dzięki sulfamidom, w które zaopatrzeni są lekarze jak i żołnierze na froncie, okres bezpieczeństwa przedłużony został o wiele godzin, a nawet dni. Obecnie każdy żołnierz aliancki posiada w swym bojowym zaopatrzeniu również i pigułki sulfathiozolu oraz 5 gramów kryształków sulfamidowych. W wypadku zranienia zażywa pigułki, względnie posypuje ranę kryształkami.

Po ataku na Pearl Harbour większość rannych została opatrzona w szpitalach już w ciągu kilku godzin, jest przeto zrozumiałe, że mimo straszliwych ran od oparzeń zakażenia były nieliczne, jednakże śmiertelność wynosiła około 3 procent. W czasie walk na Guadalcanal śmiertelność wskutek zakażeń spada poniżej 1 procent, a w Afryce Północnej wielu rannych dostało się do szpitala dopiero po kilku dniach i mimo tak znacznego opóźnienia pomocy,

zmarło wskutek zakażenia zaledwie 0,5 procent. Z 4039 rannych, opatrywanych na okręcie szpitalnym na Południowym Pacyfiku zmarło tylko 7 od zakażenia, a więc mniej niż 0,2 procent. I to wszystko dzięki sulfamidom.

Przekonano się równocześnie, że sulfamidy nie tylko zmniejszają niebezpieczeństwo zakażenia, lecz również usuwają konieczność radykalnych cięć, t.j. otwierania ran dla oczyszczenia z obumarłych tkanek, które są źródłem infekcji. Sulfamidy czynią również niepotrzebne wcześniejsze w wielu wypadkach zamknięcie rany lub zeszywanie. A im mniej cięć, badań, opatrywań i przewijań — tym mniejsze niebezpieczeństwo zakażenia.

Źródłem zakażenia może być ziemia, zawierająca cząstki kału, strzępy mundurów, wbitych w ciało wraz z pociskami, ewentualnie zarazki już znajdujące się w ciele. Bardzo niebezpiecznymi wrogami żołnierza ranego na froncie jest tężec i gangrena gazowa, wywołane swoistymi bakteriami. Zastrzyk przeciwtępcowy, udoskonalony przez francuskiego bakteriologa w r. 1924, otrzymuje obecnie każdy żołnierz armii sprzymierzonej. Przejmujące zgroza skurcze mięśni całego ciała, wywołane jadem bakterii tężca, które dawniej w 50 procentach kończyły się śmiercią — dzisiaj dzięki stosowaniu antytoksyn są bardzo rzadkie.

Gangrena gazowa, zwana tak z powodu tworzących się i pękających baniek gazowych w miejscu zakażonym, powstaje wskutek przedostania się do rany bakcyli gazowego. Rannych zabezpiecza się przed gangreną surowicą i sulfamidami. Sulfamidy wpakowane w ranę lub rozpylone na ranę oraz sulfathiozol zażywany doustnie, usunęły śmiertelność w skutek gangreny, z wykresów lekarskich niemal całkowicie. W Pearl Harbour było kilkadziesiąt wypadków gangreny, lecz żaden nie zakończył się śmiercią ani amputacją. Natomiast na Bataan surowica i sulfamidy wyczerpały się i było wiele wypadków gangreny z jej straszliwymi skutkami.

70 procent śmiertelności z ran w ostatniej wojnie, spowodowanych było przez drobnoustrój, powodujący ogólne zatrucie krwi /łańcuszkowiec/. W najlepszym wypadku kończyło się amputacją względnie długotrwałą chorobą. Antyseptyka i odpowiednie warunki sanitarne były jedynymi środkami dla zwalczania tych wypadków, jednakże w miejscach opatrunkowych na polu bitwy, a nawet w lazaretach polowych nie udawało się osiągnąć całkowicie pomyslnych wyników. Obecnie sulfamidy są bardzo skuteczne, podobnie jak i przy zakażeniu gardła lub ucha. Staphylokokki /gronkowce/, zarazki znajdujące się w czerakach i ropniach, często również i w ranach, jak dotych-

czas, są niewrażliwe na sulfamidy, jakkolwiek sulfathiozol był do pewnego stopnia skuteczny.

Sulfamidy wprowadzone do medycyny światowej przez uczonych niemieckich, uważane są przez wielu laików za cudowny środek przeciw wszystkim niemal schorzeniom. Jednakże lekarze wojskowi stosujący je w leczeniu wojennym, nie uważają ich za cudowny lek. Wiedzą oni bowiem, że są pewne czynniki w ropie i w tkance obumarłej, które uniemożliwiają leczniczą działalność sulfamid w 100 procentach. Jak dotychczas nie wydzielono jeszcze substancji, która by zneutralizowała akcję owych czynników. W wielu wypadkach, gdy infekcja usadowiła się już na dobre, lub wytworzyła się ropa, sulfamidy okazują się mało skuteczne. Sulfamidy nie mogą być stosowane bez wyboru, nie są one panaceum, ani też zabezpieczeniem przed szaleństwem. Lecz bez sulfamid listy strat wojennych byłoby bardziej ponure.

Dwa nowe odkryte środki: penicilina i tyrothrycyna zapowiadają rewolucyjny postęp w medycynie. Na razie są one niedostępne dla masowego stosowania. Penicilina, którą uzyskuje się z grzybka pleśni w drobnych ilościach, jest wielokrotnie silniejsza w działaniu aniżeli sulfamidy, przy tym mniej trująca. Dotychczasowe próby w szpitalach — w szczególności w zwalczaniu gronkowca i bakcyli gazowego — dały tak wspaniałe wyniki, iż śmiało można mówić o prawdziwym przewrocie w medycynie. Jest nadzieja, że już w niedalekiej przyszłości będzie można przystąpić do masowej produkcji tego środka.

## TECHNIKA I NARZĘDZIA CHIRURGICZNE

Amputacja była dawniej jedynym zabiegami przy skomplikowanym złamaniu kończyny. Po bitwie nad Borodino w r. 1812, naczelny chirurg Napoleona dr. Larrey wykonał 200 amputacji w ciągu 24 godzin. W latach 1917 — 1918 na 100 wypadków złamań w armii amerykańskiej — 46 kończyło się amputacją, 12 śmiercią. Jak dotychczas nie ma jeszcze szczegółowej statystyki z obecnej wojny, lecz przypuszcza się, że procent amputacji nie wyniesie 10, zgonów zaś poniżej 1 procent.

Tak olbrzymi wzrost wyzdrowień w tym dziale medycyny zawdzięcza się głównie dwu lekarzom: dr. H. Winnett Orr z Lincoln, U.S.A. i dr. Jose Trueta Raspall z Barcelony. Metoda zamkniętego opatrunku przy powikłanych złamaniach, rozwinięta przez dra Orra, stosowana po raz pierwszy masowo w praktyce przez dra Trueta w czasie hiszpańskiej wojny domowej, opiera się na teorii, że unieruchomienie obrażonej kończyny leczy zakażone złamanie, nie zaś częsta antyseptyka. Złamaną nogę lub rękę składa

się i umacnia szczepekami, odtłami pogruchotanej kości łączą się metalowymi sztyftami, szpilkami lub śrubami. Ranę zmywa się wodą i mydłem, obce ciała i obumarłe tkanki usuwa się, głębokie nacięcia zabezpieczają drenaż, stosuje się sulfamidy, po czym ranę wypełnia się gazą przesiąkniętą wazeliną. Następnie całe ramię lub nogę bandażuje się zaprawą gipsową. Gips unieruchamia mięsień, tak że zakażenie nie może się rozszerzyć na skutek ruchu mięśni, a opór tkanek jest wzmocniony całkowitym odpoczynkiem kończyny. Opatrunku nie zmienia się przez 3-4 tygodnie, pacjent nie jest więc narażony na bolesne i niebezpieczne przebandażowywanie. Metoda ta przyjęta została od początku wojny przez chirurgów armii brytyjskiej i rosyjskiej, w armii amerykańskiej stosowana jest z pewnymi zmianami.

Operacje powikłanych złamań wymagają odpowiedniego sprzętu chirurgicznego i środków znieczulających. W pierwszej wojnie światowej stosowano wyłącznie eter i chloroform. Również i obecnie eter jest w powszechnym użyciu, jednakże stosuje się głównie uspienie dożylnie /połączenia kwasu barbiturowego/, z tym zastrzeżeniem, że oddech oraz ciśnienie krwi pacjenta muszą być pod baczną obserwacją lekarską. Niebezpieczeństwo zatrucia lub złych następstw przy podawaniu tych leków jest stosunkowo małe. Znieczulenie rdzeniowe używane jest głównie przy operacjach na dolnych kończynach, znieczulenie miejscowe nie ma większego znaczenia w chirurgii wojennej, gdyż zabiera więcej czasu, co zwiększa niebezpieczeństwo zakażenia.

Kule karabinowe lub drobne odtłami pocisków często pozostawia się w ciele bez ujemnych skutków, przeważnie jednak jest konieczne usuwanie odprysków metalu. Aparaty roentgenowskie nowego typu oddają nieocenione usługi w umiejscowieniu obcych ciał, bez sondowania na ślepo.

Aparat typu "Berman — Moorhead" z elektrycznym wskaźnikiem, przesuwany wzdłuż ciała podaje dokładnie miejsce pocisku. Po raz pierwszy aparat ten zastosował dr. John Moorhead w Pearl Harbour po ataku japońskim w grudniu 1941 r. Drugi wynalazek to trójwymiarowy aparat roentgenowski, wskazujący zarówno głębokość usadawienia jak i długość i szerokość ciała obcego. Aparat ten jest wynalazkiem braci Klein, dentystów nowojorskich, którzy oddali go bezinteresownie do dyspozycji wszystkich narodów sprzymierzonych na czas wojny.

## SZYBKOŚĆ POMOCY

Nowe wynalazki techniczne, lecznicze, jak i nowe metody lekarskie przyczyniają się waleń do szybkiego leczenia i wyzdrowienia pacjentów, byłoby jednakże niewystarczające, gdyby nie dochodził jeszcze jeden niezmiernie ważny czynnik, t.j. szybkość w dostarczaniu rannych pod opiekę lekarza.

W tej dziedzinie nastąpiły też olbrzymie zmiany i ulepszenia. Ranni są obecnie daleko szybciej ewakuowani z pola bitwy, aniżeli dawniej. Amerykański "jeep" zabiera dwa a nawet cztery nosze z ciężko rannymi bezpośrednio z linii ognia do stacji przyfrontowych, gdzie rannym udziela się pierwszej pomocy /zastrzyki morfiny, sulfa, opatrunki i t.p./, stąd przewozi się ich na stację zbiorczą, gdzie otrzymują dalszą pomoc, łącznie z przetaczaniem krwi. Następnie przewozi się rannych w ambulansach możliwie jak najszybciej, do odległych o 5 mil od frontu szpitali polowych wyższego rzędu, gdzie w razie potrzeby dokonuje się operacji. Lazarety te są równocześnie miejscami rozdzielczymi i rannych stąd odsyła się do głównych stacji szpitalnych w głębi kraju — ambulansami lub samolotami. W armii amerykańskiej samoloty sanitarne są w powszechnym użyciu. Istnieją stałe linie powietrzne dla przewożenia rannych z Pacyfiku do Stanów Zjednoczonych i Australii, co więcej, zaprowadzono codzienną komunikację lotniczą dla rannych i chorych z Aleutów i Alaski do U.S.A.

WACŁAW SZPERBER





### Dla Polaków w Rosji: £10,910

Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy na terenie R.A.F. Maintenance Command — na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu marcu i kwietniu 1944 r. kwotę £6.12.6.

Szanowny Panie Redaktorze, Zamiast kwiatów, których osobliście nie mogłem złożyć na trumnie s.p. ochotniczki Janiny Juźwiak, przesyłam sh.10 z przeznaczeniem na biedne dzieci polskie w Rosji.

Szanowny Panie Redaktorze, Przesyłam: na "Paczki od serca" — 15 szylingów, na polskie dzieci w Rosji — 15 szylingów.

NA POLSKI CZERWONY KRZYŻ Do Redakcji "Polski Walczącej", Pragnę za pośrednictwem "Polski Walczącej" wyrazić moje najserdeczniejsze podziękowanie paniom z Polskiego Czerwonego Krzyża z Sekcji Opieki nad Rannymi i Chorymi Lotnikami za czułą opiekę i pomoc podczas mego długiego pobytu w szpitalu.

Słowa jednak nie potrafią wyrazić mej wdzięczności. Załączam £1.1.0 z prośbą o przeznaczenie do dyspozycji P.C.K.

Redakcji przesyłam wyrazy głębokiego szacunku. Z poważaniem

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £7.17.6 /słownie: siedem funtów, siedemnaście szylingów, 6d./ przekazał mi Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,910.10.9 /słownie: dziesięć tysięcy dziewięćset dziesięć funtów, dziesięć szylingów, 9d., 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieniów i 100 milrejsów brazylijskich.

### NA POMOC DLA KRAJU I FUNDUSZ WALKI CZYNNEJ FUNDUSZU SPOŁECZNEGO WOJSKA

Zamiast kwiatów na trumnę s.p. kpt. dra Tadeusza Kiepińskiego na "Pomoc dla Kraju i Fundusz Walki Czynnej" Funduszu Społecznego Wojska £9.13.6 /słownie: dziewięć funtów, trzynaście szylingów, 6d./

### NA DAR NARODOWY

W załączeniu przesyłam Money Order na kwotę £12.0.4 /słownie: dwanaście funtów, cztery pensy/, zebraną podczas Akademii w dniu 3-go Maja z dobrowolnych datków na "Dar Narodowy".

Kwotę powyższą proszę przesłać pod właściwy adres.

### Zbiórka książek

Do Redakcji "Polski Walczącej", To wszystko co przesyłam, przeznaczam dla żołnierza na Wschodzie. Z poważaniem

Załączone: Porucznik Herbert: "Zadło Genowefy", "Z pierwszej linii frontu", "The National Zoological Park of Scotland", 18 egz. pism i broszur oraz pakiet "Wiadomości Polskich".

Bezimiennie: 9 rozmaitych miesięczników.

P.S. Wisłocki przesłał: A. Conan Doyle: "Sherlock Holmes", E. J. Méras: "Memoirs Relating to Fouché", A. J. Russell: "Their Religion", L. Rivière: "Nauka Francuskiego", J. Kisieliński: "Ziemia gromadzi prochy", M. Irwin: "The Gay Gailliard", S. Mackiewicz: "Historia Polski", J. G. Lockhard: "True Tales of the Sea", W. Collins: "The Moonstone", K. Zbyszewski: "Z Marszałkowskiej na Piccadilly", H. G. Wells: "The Invisible Man".

Do Redakcji "Polski Walczącej", W załączeniu przesyłam dwie książki: "Vade-Mecum żołnierza-kierowcy" /I, II/, "Basic English".

Do Redakcji "Polski Walczącej", Przy niniejszym przesyłam dla dzieci polskich następujące wydawnictwa: N. Neugebauer: "Kampania wrześnieńowa", A. Mickiewicz: "Pan Tadeusz", F. S.: "Między Marną a Loarą", "Kalendarz Czerwonego Krzyża", A. Stonimski: "Popiół i wiatr", "Ziemie Wschodnie", G. Ramsay: "Poznaj Wielką Brytanię".

### Na "paczki od serca": £3,120

General M. Kukiel składa otrzymany dodatek mundurowy w wysokości £15 na "paczki od serca".

Szanowny Panie Redaktorze, W załączeniu przesyłam czek na £4.4.0 /słownie: cztery funty, cztery szylingi/ na "Paczki od serca" zebrane przez członków Zrzeszenia Studentów Polaków w W. Brytanii Oddział Edinburg, prosząc aby, jak poprzednio, paczki były w miarę możliwości wysłane dla Kolegów-Studentów będących w niewoli.

Z poważaniem /Z. Golarz/ Sekretarz

W załączeniu przesyłam czek na kwotę £12.1.6, którą to kwotę złożyli uczestnicy Kursu kulturalno-oświatowego z przeznaczeniem dla jeńców wojennych.

Uczestnikami Kursu byli uczestnicy z Ameryki Południowej. Z ogólnej kwoty ofiarowanej, uczestnicy złożyli £10.1.6, wykładowca £2; razem £12.1.6.

Do Redakcji "Polski Walczącej", Nie mogę w inny sposób wyrazić wdzięczności Księdzu Dziekanowi Miodońskiemu za odprawienie Mszy Św. w dniu imienia s.p. Ojca mego.

"SAŁATKA MAJOWA" W czwartek 25 maja o godz. 7.15 w Klubie "Orla Białego" odbędzie się wieczór fraszek i humoru p.t. "sałatka majowa".

Udział biorą A. Bogusławski, W. Budzyński, Kotwicz, M. Czuchnowski, A. Kowalski, R. Kiersnowski, P. Kulesza, J. Laskowski, A. Nowina, L. Solski, K. Zbyszewski, i A. Wasilewski.

przesyłam w gotówce dwa funty z przeznaczeniem na pomoc dla naszych żołnierzy w niewoli niemieckiej.

Dla uczczenia uroczystości rodzinnych przypadających w maju przesyłam £5 na "paczki od serca" dla naszych jeńców w Niemczech.

Na "paczki od serca" szylingów 15.

Przesyłam bezimiennie £1 na paczkę dla jeńców polskich w Niemczech.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £40.0.6 /słownie: czterdzieści funtów i sześć pensów/ przekazał mi Sekcja Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,120.8.1 /słownie: trzy tysiące sto dwadzieścia funtów, osiem szylingów, 1d./ 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

Czyta Józef Opieński oraz autorzy.

# WERINAJSEK

... SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...



Gen. Anders: — Faites vos jeux Messieurs! /stawiajcie panowie!/.

W RADZIE NARODOWEJ —Muszę panom zakomunikować miłą wiadomość! Wreszcie skapitulowali ... —Co pan mówi? Wszyscy? —Jeszcze nie, ale część linii Hitlera. —Eee, pan mówi o Włoszech, a my o Londynie! ...

AUTENTYCZNE Do przepełnionego autobusu w Londynie gramoli się objuczony żołnierz brytyjski. —Sorry — woła konduktorka — następnym niech pan pojedzie! —O.K., ale przez to spóźnię się na drugi front o całe 10 minut! ...

NOWOŚCI Mówią, że najnowsza książka jaka się pojawi, będzie nosiła tytuł: "Między Kasynem a Cassinem".

ŻOŁNIERSKI HUMOR Żołnierz angielski zwraca się do jednego z polskich żołnierzy po zdobyciu Cassina: —Właściwie to ten klasztor mogliśmy już dawno zdobyć, tylko my nie lubimy benedyktynek! ...

MÓWIĄ! O pewnym korespondencie wojennym powszechnie się mówi, że wkrótce ma wypłynąć na szersze wody ...

### WŁOSKIE PODBIPIĘTY



Żołnierz polski we Włoszech: —Jakoś wchodzi ten but włoski!

### GDZIEŚ W SZKOCJI



—Cóż to za rumowisko? Czy sobie wyobrażacie, że tu jest Cassino?!

CUDA Oficer angielski do sierżanta polskiego po zdobyciu klasztoru: —Nie mogę pojąć! Przy tak wielkim sukcesie, macie znikomą ilość jeńców! —Trudno panie kapitanie, w każdym klasztorze różne cuda się dzieją! ...

TRAFNA POCHWAŁA Zakonnicy w Monte Cassino mówią o Polakach we Włoszech, że zdobyli klasztor istic benedyktyńską pracą ...

KWESTARZ DOSKONAŁY Najlepszym kwestarzem klasztornym okazał się gen. Anders. Zdobył dla Aliantów cały klasztor.

POBOŹNISIE! Do cel klasztornych w Cassino wpadają pierwsi żołnierze polscy. Niemcy podnoszą ręce do góry i błagają o życie. —Co wy tu robicie — pytają Polacy. —Siedzieliśmy na pokucie! ...

W BRYGADZIE KARPACKIEJ —Feluś, po takim sukcesie, ciekawy jestem, co nam poleca zdobywać w Rzymie! —Chyba Colosseum ...

### MAJ W EDYNBURGU

W parku edynburskim siedzi Polak ze Szkotką: —Widzę, że Polacy są teraz bardziej agresywni, niż dawniej. Niech pan jednak pamięta, że ja nie jestem Cassino i proszę mnie nie zdobywać szturmem ...

POCHWAŁA Amerykanin: — Ci Polacy to odważny naród. Jak nie Monte Carlo, to Monte Cassino muszą rozbić!

JEDYNY FACHOWIEC Do szefa Kasyna w "Rubensie" zbliża się pewien pułkownik, znany ze swego humoru: —Panie kolego, pan jeszcze tutaj? Słyszałem, że ma pan objąć Cassino! ...

KTO ZDOBYŁ? Niemcy twierdzą, że Cassino zdobył tylko żywy Duch ...

JAK SOBIE MAŁY STAS WYOBRAZA ...



... gen. Andersa, który poszedł do klasztoru ...

### NIEMCY UDALI SIĘ NA Z GÓRY UPATRZONE STANOWISKA



... jak z procy! ...

KOMPLEMENT Anglik: Polacy to najpoboźniejszy naród. Tylko ciągną do klasztorów!

KRÓTKA ODPOWIEDZ Niemiecka stacja we Włoszech "Wanda" nadała depeszę do gen. Andersa: —Quo vadis, generale? —Via Romana — padła odpowiedź!

SKRUPULATNY Do wrót św. Piotra puka żołnierz angielski: —A ty skąd? —Spod Cassina, św. Piotrze — odpowiada Anglik. — Chciałbym odpocząć w niebie ... —Po chwili przychodzi Amerykanin. —A ty gdzie poległeś? —Pod Cassinem! Prosiłbym o mały pokoik w niebie! ... —O północy wali do okien św. Piotra — Polak. —Skądże znowu o tej porze? —Spod Cassina, melduję posłuszenie ... —I pewnie chciałbyś iść do nieba? —Nie, do piekła! —Do piekła!?! A to dlaczego?! —Muszę zliczyć moich Niemców!

Tekst i rysunki: TONY

HOŁD ZDOBYWCOM MONTE CASSINO. Związki Ziem Północno i Południowo — Wschodnich Rz.P. w czwartek 1-go czerwca urządzają o godzinie 6.30 pop., w Westminster Cathedral Hall, Ambrosden Avenue, MANIFESTACJĘ dla uczczenia bohaterstwa żołnierza polskiego.

SPIS RZECZY: Zbigniew Grabowski: Podstawy wspólnoty. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — Z tygodnia na tydzień. — Zbigniew Grabowski: Szkic sytuacyjny. — Cezary Szaszkiewicz: Książ Król — kapelan Brygady Podhalańskiej. — Lucjan Bliś: Bohater ghetta — kawaler "Wirtuti Militari". — Witold Domański: Wizyta w Dywizji Karpackiej /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Aleksander Janowski: Cassino. — Halina Tomaszewska: Sady kwitną na Wołyniu. — Wacław Szperber: Lekarz na froncie bojowym /I./ — Wiktor Budzyński: Bez blackoutu. — Kotwicz: Dwie fraszki lotnicze /Rzucało. Kraksa/. — Skrzynka pocztowa. — Poradnik żołnierski. — Tony: Werinajsek.

BE TALLER! INCHES PUT YOU MILES AHEAD! Increased my own height to 6ft. 3 3/4 ins. CLIENTS GAIN 1 to 6 inches No Appliances—No Tablets—No Dieting Ross System Never Fails Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp MALCOLM R. ROSS Height Specialist BM/Hyte, London, W.C.1

MINISTERSTWO WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO zawiadamia o wydaniu następującej książki z serii "Nauka i Wychowanie" Ks. PRAŁAT ZYGMUNT KACZYŃSKI OŚWIATA I KULTURA W POLSCE POWOJENNEJ (wytyczne z exposé) Str. 36. Cena 1/6. Do nabycia w polskich księgarniach i kioskach.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD. Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej. Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku. Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji. Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz. Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505

KOMUNIKAT Dowódca Baonu Strzelców Podhalańskich zawiadamia, że tegoroczne Święto Baonowe w dniu 28.5.44 obchodzone będzie ściśle w ramach wewnętrznych. "CZWARTACY" — b. oficerowie i żołnierze 4 pp. Leg. proszeni są o zgłoszenie: a/ swoich adresów w Wielkiej Brytanii, na Śr. Wschodzie i w krajach alianckich, b/ adresów "Czwartaków" w obozach jeńców i internowanych, c/ adresów rodzin w Kraju obarczonych dziećmi, pod adresem: Tymczasowy Komitet Pomocy Jeńcom i internowanym z b. 4 pp. Leg. Ferdynand Świt., 8, Emperor's Gate, London, S.W.7. Dotychczas zarejestrowano 20 adresów jeńców i internowanych, 3 adresy rodzin, wysłano 84 paczki opłacono składki w wysokości po sh.10 —£1.5.0 /oficerowie/ i po 2—5 sh /szeregowi/ 13-tu kolegów. EDWARD NIDECKI, Camp universitaire, Fribourg, Suisse proszukuj STANISŁAWA KOSIBĘ ur. 192 i WŁADYSŁAWA GŁADYSZA ur. 1916